

Jack Vance

Powrót Człowieka

(The Men Return)

Infinity Science Fiction, July 1957

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

© Public Domain

This text is translation of the novelette "The Men Return" by Jack Vance.

First publication of this story: Infinity Science Fiction, July 1957. Extensive research did not uncover any evidence that the U.S. copyright on this publication was renewed.

It is assumed that this copyright notice explains the legal situation in the United States. Copyright laws in most countries are in a constant state of change. If you are outside the United States, check the laws of the appropriate country.

Copyright for the translation is transferred by the translator to the Public Domain.

This eBook is for the use of anyone anywhere at no cost and with no restrictions whatsoever.

Relikt ruszył ukradkiem w dół zbocza, powłóczące nogami, wychudzone stworzenie, o udreńczonych oczach. Poruszał się serią szybkich zrywów, korzystając z ukrycia każdego skrawka ciemności, chowając się w każdym przelotnym cieniu, przez cały czas skradając się na czworaka, z głową tuż przy ziemi. Kiedy dotarł do ostatniego niskiego występu skalnego, zatrzymał się i rozejrzał po równinie.

W oddali wyrastały niskie wzgórza, o rozmytych kształtach widocznych na tle nieba, mętnego i pocętkowanego, jak szklanka rozrzedzonego mleka. Leżąca przed nim równina wyglądała jak zbutwiałe aksamit, czarno-zielony, pomarszczony, pokryty bruzdami w kolorze ochry i rdzy. Nieopodal, wysoko w powietrze tryskała fontanna płynnej skały, spadając w czarną sadzawkę. Nieco dalej grupa szarych obiektów ewoluowała z wrażeniem celowości: sfery przekształcały się w piramidy, które następnie stawały się kopułami, grupami białych iglic, sterczącymi w powietrze pojedynczymi drzazgami, aby przejść do ostatecznego stadium, porzucanych kamieni.

Reliktu takie rzeczy zupełnie nie obchodziły; potrzebował pożywienia, a na równinie widać było rośliny. Z braku czegoś lepszego, wystarczyłyby i one. Rosły głównie w ziemi, a od czasu do czasu na skrawkach płynącej wody, albo otaczając jądro twardego, czarnego gazu. Miały kształt wilgotnych, czarnych trzepoczących liści, kęp na wpół wyschniętych cierni, bladozielonych bulw, łodyg z liśćmi i poskręcanymi kwiatami. Nie było widać żadnych rozpoznawalnych gatunków, i Relikt nie miał sposobu by sprawdzić, czy łodygi i odrosty, które jadł wczoraj, dziś go nie zatrują.

Sprawdził stopą powierzchnię równiny. Szklista powierzchnia (choć wyglądała na jakąś konstrukcję z czerwonych i szarzielonych piramid) wytrzymała przez chwilę jego wagę, a potem nagle wciągnęła mu nogę. Szaleńczo wyrwał się na wolność i odskoczył do tyłu, przycupnąwszy na chwilowo pewnej skale.

Głód skręcał mu żołądek. Musi coś zjeść. Przypatrzył się równinie. Niezbyt daleko, igrała para Organizmów – ślizgały się, nurkowały, tańczyły, przybierały wymyślne pozy. Gdyby się zbliżyły, mógłby spróbować zabić jeden z nich. Przypominały ludzi, a więc powinny stanowić dobry posiłek.

Czekał. Długo? Krótco? Mogło być i tak i tak; czas trwania nie stanowił ani ilościowej, ani jakościowej rzeczywistości. Słońce niknęło i nie było żadnego stałego cyklu, albo okresowości. Czas stał się pustym pojęciem.

Sprawy nie zawsze tak wyglądały. Relikt zachował kilka strzępków wspomnień z dawnych czasów, zanim jeszcze systematyczność i logika stały się przestarzałymi pojęciami. Człowiek dominował nad Ziemią dzięki

funkcjonowaniu jednego założenia: że skutek był determinowany przez przyczynę, będącą skutkiem poprzedniej przyczyny.

Korzystanie z tego podstawowego prawa, dało liczne pożądane rezultaty; Wydawało się, że nie ma potrzeby korzystania z innego narzędzia czy zestawu instrumentów. Człowiek gratulował sobie swej uogólnionej struktury. Mógł żyć na pustyni, na lodowych równinach, w lesie, czy w mieście. Natura nie ukształtowała go do żadnego określonego środowiska.

Nie zdawał sobie sprawy ze swej słabej strony. Logika była specjalnym środowiskiem; mózg był specyficznym narzędziem.

I wtedy nadeszła ta straszna godzina, kiedy Ziemia wpłynęła w dziurę nieprzyczynowości i wszystkie porządkujące świat ograniczenia przyczynowo-skutkowe zniknęły. Specjalne narzędzie stało się bezużyteczne; nie miało ono żadnego punktu oparcia w rzeczywistości. Z dwóch miliardów ludzi, przetrwało tylko niewielu – szaleńcy. Stali się teraz Organizmami – panami tej ery, ich odmienność tak dokładnie odpowiadała kaprysom świata, że stała się osobiwą, wynaturzoną mądrością. Albo może zdeorganizowana materia świata, która wyrwała się z uścisku dawnej jego organizacji, stała się szczególnie wrażliwa na psychokinezę.

Garstce innych, Reliktom, również udało się przetrwać, ale tylko dzięki drobnemu zbiegowi okoliczności. Byli to ci, najmocniej naładowani dawną dynamiką przyczynową. Utrzymała się ona w dostatecznej ilości, aby kontrolować metabolizm ich ciał, ale nie mogła rozprzestrzeniać się poza nie. Tak więc, szybko wymierali, ponieważ rozum nie dawał żadnego punktu oddziaływania na otoczenie. Czasami nawet ich umysły rozpadały się i roztrzaskiwały, a oni sami wyruszali, szalejąc i dziko podskakując, przez równinę.

Organizmy postrzegały ich bez zaskoczenia, czy ciekawości. Jak mogłoby istnieć coś takiego, jak zaskoczenie? Szalone Relikty mogły zatrzymać się przy Organizmie i próbować powielić egzystencję tego stworzenia. Organizmy pożerały rośliny; podobnie więc robiły szalone Relikty. Organizmy ocierały stopy kiedy weszły w wodę; podobnie robiły Relikty. W czasie gdy Organizmy odpoczywały na wilgotnej, czarnej trawie, Relikty szybko umierały z powodu zatrucia, rozdartych wnętrzności albo uszkodzeń skóry. Albo Organizm mógł szukać i próbować zjeść Relikta; a Relikt uciekał przed nim ze strachem, nie mogąc na stałe zatrzymać się w żadnym miejscu – nieustannie w biegu, dysząc w gęstym powietrzu, z szeroko wytrzeszczonymi oczyma, otwartymi ustami, wrzeszcząc i dysząc, ostatecznie znajdując swój koniec w kałuży czarnego żelaza, albo wpadając w kieszeń próżniową, trzepiąc się w niej jak mucha w butelce.

Obecnie liczba Reliktów była już bardzo niewielka. Finn, ten który przycupnął na wyglądającej na równinę skale, żył z czwórką innych. Dwójka z nich, byli to już starzy ludzie i wkrótce mieli umrzeć. Finn podobnie musiał umrzeć, chyba że uda mu się znaleźć pożywienie.

Na równinie, jeden z Organizmów, Alfa, usiadł, złapał w ręce garść powietrza – kulę z niebieskiego płynu – i skałę, zgniótł je razem, rozciągnął mieszaninę jak toffi i machnął nią mocno do góry. Rozwinęła się z jego ręki jak lina. Relikt przycupnął niziutko. Nie wiadomo, jakie diabelstwo przyjdzie do głowy temu stworzeniu. Ono jest, jak i cała reszta – zupełnie nieprzewidywalne! Relikt cenił ich mięso, jako pożywienie, ale one również by go zjadły, gdyby tylko miały taką sposobność. W konkurencji z nimi, znajdował się na dużo gorszej pozycji. Ich losowe zachowanie myliło go. Gdyby próbując uciekać ruszył biegiem, mogłyby zacząć się dziać straszne rzeczy. Kierunek, który wybierał, rzadko zgadzał się z wypadkową zmieniających się sił tarcia podłoża, umożliwiających mu poruszanie się. Ale Organizmy były równie losowe i nieprzewidywalne, jak środowisko, zaś podwójny zestaw przypadków, czasami się uzupełniał, czasami nawzajem się znosił. W tym drugim przypadku, Organizm mógłby go złapać...

To było niemożliwe do wyjaśnienia. Ale właściwie, jakie to nie było? Słowo „wyjaśnienie” nie miało żadnego znaczenia.

Poruszały się w jego stronę; czy go widziały? Przycisnął się jak mógł do ponurej, żółtej skały.

Dwa Organizmy zatrzymały się niedaleko od niego. Słyszał wydawane przez nie dźwięki, chory od przeciwstawnych bolących potrzeb głodu i strachu.

Alfa opadł na kolana, a następnie położył się na wznak, z rękoma i nogami rozrzuconymi na chybił trafił, kierując w niebo serie muzycznych krzyków, posykiwań, gardłowych jęków. Był to wymyślony przez niego język, który właśnie zaimprovizował, ale Beta rozumiał go dobrze.

— Wizja — zakrzyknął Alfa. — Widzę przez niebo. Widzę węzły, wirujące koła. Zacieśniają się w twarde punkciki. Nigdy nie wrócą już do poprzedniej postaci.

Beta przysiadł na piramidzie, obejrzał się przez ramię na plamiste niebo.

— Intuicja — zaintonował Alfa, — obraz z innych czasów. Jest brutalny, bezlitosny, nieelastyczny.

Beta uniósł się z piramidy, zanurkował pod szklistą powierzchnię, przepłynął pod Alfą, wynurzył się i rozłożył obok niego.

— Popatrz na tego Relikta na wzgórzu. W jego krwi tkwi esencja starej rasy – ograniczonych ludzi, z nic nie wartymi mózgami. Odrzucił intuicję. Niezdarne stworzenie. Nieustannie błędzi — powiedział Alfa.

— Oni są już martwi. Co do jednego — odparł Beta. — Chociaż trzech, czy czterech zostało. (Kiedy przeszłość, teraźniejszość i przyszłość są tylko koncepcjami pozostałymi z innej ery, jak łódzie na wyschniętym jeziorze – to zakończenia procesu nie da się zdefiniować.)

Alfa oznajmił:

— Oto jest wizja. Widzę Relikty rojące się na Ziemi; potem czmychają donikąd, jak komary na wietrze. To już minęło.

Organizmy leżały bez słowa, rozmyślając nad wizją.

Z nieba spadła jakaś skała, albo może meteor, uderzając w powierzchnię stawu. Pozostawił po sobie kolistą dziurę, która powoli się wypełniała. Z innej części stawu wystrzeliła kropla cieczy, prysnęła w powietrze i gdzieś odleciała.

Alfa rzekł ponownie:

— I znowu mamy – intuicja dowodzi swej siły. Na niebie pojawią się światła.

Stracił swój zapał. Zaczepił się palcami o powietrze i podciągnął się, wstając na nogi.

Beta leżał spokojnie. Ślimaki, mrówki, muchy, chrząszcze pełzały po nim, walcząc ze sobą i rozmnażając się. Alfa wiedział, że Beta mógłby się podnieść, strząsnąć z siebie insekty i odejść. Ale Beta zdawał się preferować pasywność. To całkiem nieźle. Może wytworzyć innego Betę, zgodnie ze swoją wolą, albo nawet dziesięciu kolejnych. Z czasem świat będzie roił się od Organizmów, różnego rodzaju, o różnych kolorach, wysokich jak wieża, niskich i przysadzistych jak donica.

— Czuję że czegoś mi brak — powiedział Alfa. — Zjem tego Relikta.

Zrobił krok przez siebie i czysty przypadek przeniósł go w pobliże żółtego występu skalnego. Relikt Finn zerwał się w panice na równe nogi.

Alfa próbował mu przekazać, żeby Finn się zatrzymał, tak by Alfa mógł go zjeść. Ale Finn nie potrafił wychwycić wielowartościowych półtonów w głosie Alfę. Złapał kamień i cisnął nim w Alfę. Kamień rozpadł się z pufnięciem w chmurę pyłu, którą wiatr zdmuchnął z powrotem, prosto w twarz Reliktowi.

Alfa przysunął się bliżej i wyciągnął swe długie ręce. Relikt próbował go kopnąć. Noga wyjechała spod niego i ześlizgnął się na równinę. Alfa powolnie, z samozadowoleniem, ruszył za nim. Finn spróbował się odczołgać. Alfa przesunął się w prawo. Zrobił to losowo, ten kierunek był równie dobry jak każdy inny. Zderzył się z Betą i zaczął pożerać go zamiast Relikta. Relikt zawahał się; potem podszedł i przyłączył się do Alfę, wpychając do ust kawałki różowego mięsa.

Alfa oznajmił Reliktowi:

— Miałem właśnie porozumieć się przez intuicję z tym, którego w tej chwili zjadamy. Zamiast tego, powiem to tobie.

Finn nie rozumiał osobistego języka Alfę. Jadł tak szybko, jak to było możliwe.

Alfa przemówił ponownie:

— Na niebie pojawią się światła. Ogromne światła.

Finn podniósł się na nogi, czujnie obserwując Alfę, złapał Betę za nogi i zaczął go ciągnąć w kierunku wzgórza. Alfa przyglądał się temu, z dziwnym brakiem zainteresowania.

Dla wychudzonego Relikta, było to trudne zadanie. Czasami Beta płynął równo w powietrzu, czasami podlatywał w górę, a czasami przywierał do powierzchni równiny. W końcu zaklinował się w skupisku granitowych skałek, które zastygły wokół niego. Finn próbował

wyszarpnąć go siłą, podważyć jego ciało przy pomocy kija, ale nie udało mu się to.

Biegał w tą i z powrotem, nie mogąc nic wymyślić. Beta zaczął zapadać się w sobie, jak meduza na gorącym piasku. Relikt zostawił jego ciało. Za późno! Za późno! Jedzenie miało się zmarnować! Świat to ohydne, pełne frustracji miejsce!

Chwilowo miał pełen żołądek. Ruszył z powrotem, w górę zbocza, i wkrótce dotarł do obozowiska, w którym czekało czterech innych Reliktów – dwóch starszych mężczyzn, dwie kobiety. Kobiety, Gisa i Reak, podobnie jak Finn, wróciły właśnie z poszukiwań pożywienia. Gisa przyniosła pokrytą porostami płytę; Reak kawałek jakiejś nieokreślonej padliny.

Starcy Boad i Tagart, siedzieli spokojnie, czekając na żywność albo na śmierć.

Kobiety ponuro przywitały Finna.

— Gdzie jest jedzenie, po które wyruszyłeś?

— Miałem całe, wielkie cielsko — odparł Finn. — Nie mogłem go przynieść.

Boad chytrze ukradł płytę z porostami i zaczął napychać nimi sobie usta. Były żywe, zadrzały i wypuściły czerwoną posokę, która okazała się trująca i starzec umarł.

— Teraz mamy pożywienie — stwierdził Finn. — Jedzmy.

Ale trucizna wytworzyła zgniliznę; ciało zagotowało się niebieską pianą, wytworzoną przez zawartą w nim energię.

Kobiety odwróciły się, żeby popatrzeć na drugiego ze starców, który rzekł drżącym głosem:

— Zjedzcie mnie, jeśli musicie – ale dlaczego nie wybrać Reak, która jest ode mnie młodsza?

Reak, młodsza z kobiet, przeżuując kawałki mięsa ze swej padliny, nic nie odpowiedziała.

Finn oznajmił pustym głosem.

— Dlaczego przejmujemy się tym co się stanie? Zdobycie żywności jest coraz trudniejsze, a my jesteśmy ostatnimi z ludzi.

— Nie, nie — odezwała się Reak. — Nie jesteśmy ostatni. Widzieliśmy innych na zielonym kopcu.

— To było dawno temu — zauważyła Gisa. — Do dzisiaj są już z pewnością martwi.

— Może znaleźli jakieś źródło jedzenia — zasugerowała Reak.

Finn wstał i rozejrzał się po równinie.

— Kto wie? Może za horyzontem jest jakaś bardziej przyjazna kraina.

— Wszędzie są tylko pustkowia i złe stworzenia — rzuciła ostro Gisa.

— Czy może być gorzej niż tutaj? — spokojnie nie zgodził się z nią Finn.

Nikt nie potrafił podważyć jego zdania.

— Oto, co proponuję — powiedział Finn. — Spójrzcie na tę wysoką górę. Popatrzcie na warstwy twardego powietrza. Uderzają w szczyt,

odbijają się od niego, cofają się i wracają w jego stronę, znikając za jego krawędzią. Wejdzmy na tę górę i kiedy nadleci wystarczająco duża fala powietrza, rzućmy się na nią i pozwólmy aby nas uniosła na te wspaniałe ziemie, które może czekają na nich tuż poza zasięgiem wzroku.

Było trochę sporów. Stary Tagart utyskiwał na swoją słabość; kobiety wysmiewały możliwość istnienia żyznych terenów, o których mówił Finn. Wkrótce jednak, gderając i zrzedzając, rozpoczęli wspinaczkę na szczyt.

Zabrało to dużo czasu; obsydian był miękki, jak galareta, a Tagart kilka razy się skarżył, że osiągnął już granicę wytrzymałości. Ciągłe jednak szli dalej i w końcu znaleźli się na szczycie. Ledwie starczało miejsca aby mogli stanąć razem. Mieli dobry widok we wszystkich kierunkach, widząc panoramę rozciągającą się daleko, aż po horyzont ginący w wodnistej szarości.

Kobiety kłóciły się i wskazywały w różne strony, ale niewiele widać było oznak istnienia jakiegoś lepszego regionu. Z jednej strony, dygotały jak galareta niebiesko-zielone wzgórza. Z drugiej strony ciągnęła się czarna smuga – wąwóz, albo jezioro gliny. Jeszcze w innym kierunku, kolejne niebiesko-zielone wzgórza, takie same jak w pierwszym przypadku. Pod nimi rozciągała się równina, błyszcząca jak pancerz opalizującego żuka, tu i ówdzie poznaczona czarnymi aksamitnymi plamami, porośnięta jakąś mizerną roślinnością.

Zobaczyli Organizmy, kilkanaście sztuk, wędrujące po stawach, chrupiących strąki roślin, niewielkie skały lub insekty. Wśród nich znajdował się i Alfa. Poruszał się powoli, nadal wystraszony swoją wizją, ignorujący inne Organizmy. Próbowaly zachowywać swą pozę, lecz szybko zatrzymywały się w milczeniu, dzieląc jego niepokój.

Na szczycie obsydianowej góry, Finn złapał mocno przelatujące obok włókno powietrza i przyciągnął je do siebie.

— A teraz... wszyscy wsiadamy i pożeglujemy do Krainy Obfitości.

— Nie — zaprotestowała Gisa, — nie wystarczy miejsca, a poza tym kto wie, czy ono poleci we właściwą stronę?

— A która strona jest właściwa? — spytał ją Finn. — Czy ktoś wie?

Nikt nie wiedział, ale kobieta ciągle odmawiała wejścia na włókno. Finn zwrócił się do Tagarta.

— No dalej, wsiadaj starcze, pokaż tym kobietom, jak to się robi; wchodź!

— Nie, nie! — zwołał tamten. — Boję się powietrza; to nie dla mnie.

— Wsiadaj, stary, my zaraz za tobą.

Jęcząc i z całej siły zaciskając dłonie na gąbczastej masie powietrza, Tagart wciągnął się na włókno, z krzywymi nogami, zwisającymi z obu stron bez żadnego podparcia.

— No, dobrze — powiedział Finn. — Kto następny?

Kobiety ciągle odmawiały.

— No to idź ty sam! — zawołała Gisa.

— I zostawić ciebie, moje ostatnie zabezpieczenie przeciwko głodowi? Jazda na włókno!

— Nie. Włókno jest za małe; Niech stary na nim leci, a my za nim, na większym.

— Niech będzie — Finn zwolnił uchwyt. Włókno powietrza popłynęło ponad równiną, z siedzącym na nim Tagartem, czepiającym się z całej siły swego drogocennego życia.

Patrzyli za nim z ciekawością.

— Spójrzcie — powiedział Finn, — jak szybko i swobodnie leci włókno powietrza. Ponad Organizmami, ponad całym tym bagnem i niepewnością.

Ale samo powietrze również było niepewne i tratwa starca zaczęła się rozpadać. Chwytając rozchodzące się wstążki, Tagart próbował utrzymać swoją poduszkę w całości. Uciekła jednak spod niego i spadł.

Troje pozostałych na szczycie obserwowało wrzecionowatą postać, wymachującą rękoma i obracającą się, w drodze do leżącej daleko w dole ziemi.

— I tak — zawołała ze strapieniem Reak, — nie mamy już żadnego mięsa.

— Nie mamy — odparła Gisa, — poza naszym marzycielem Finnem.

Mierzyły wzrokiem Finna. Wspólnymi siłami mogły go bez trudu pokonać.

— Uważajcie — zawołał Finn. — Jestem ostatnim Mężczyzną. Wy jesteście moimi kobietami, wykonawczyniami moich poleceń.

Zignorowały go, mruczając coś do siebie i spoglądając na niego bokiem.

— Uważajcie — zawołał ponownie Finn. — Zrzucę was obie z tej góry.

— To właśnie my planujemy dla ciebie — oznajmiła Gisa.

Zrobiły krok naprzód z groźną ostrożnością.

— Zatrzymajcie się! Jestem ostatnim Mężczyzną!

— Lepiej nam będzie bez ciebie.

— Poczekajcie chwilę! Spójrzcie na Organizmy!

Kobiety skierowały wzrok w dół. Organizmy stały w zwartej grupie, wpatrując się w niebo.

— Patrzcie na niebo!

Kobiety spojrzały w górę. Oszronione szkło pękało, łamiąc się i rozstępując na boki.

— Błękit! Błękitne niebo z dawnych lat!

Na dół spłynęło niesamowicie jasne światło, rażąc ich w oczy. Promienie ogrzewały ich nagie plecy.

— Słońce — powiedzieli do siebie wystraszonymi głosami. — Słońce wróciło na Ziemię.

Okryte całunem niebo, zniknęło; pośród morza błękitu unosiło się dumne i jasne słońce. Ziemia w dole gwałtownie się wzburzyła, zaczęła pękać, kruszyć się, ustalać. Poczuli, że obsydian pod ich nogami twardnieje; jego kolor zmienił się na szklisto-czarny. Ziemia, Słońce, cała

galaktyka opuściła region swobody; dawne czasy, z ich ograniczeniami i logiką, ponownie były razem z nimi.

— To Dawna Ziemia — zawołał Finn. — Jesteśmy ludźmi Dawnej Ziemi! Świat znów należy do nas!

— A co z Organizmami?

— Jeżeli to jest Dawna Ziemia, to niech Organizmy się strzegą!

Organizmy stały na niewielkim wzniesieniu terenu, obok małej strugi wody, która raptownie zmieniała się w płynącą przez równinę rzekę.

Alfa zawołał:

— Oto moja intuicja! Jest dokładnie tak, jak się spodziewałem. Wolność zniknęła; wróciły stałość i ograniczenie!

— Jak możemy z tym walczyć? — spytał jakiś inny Organizm.

— Bez trudu — oznajmił trzeci. — Każdy musi przyjąć na siebie część bitwy. Ja planuję rzucić się na słońce i wymazać je z rzeczywistości. — I skulił się, a następnie wyrzucił w powietrze. Upadł na plecy i złamał sobie kark.

— Problem — powiedział Alfa, — leży w powietrzu; ponieważ powietrze otacza wszystkie rzeczy.

Sześć Organizmów rozbiegło się w poszukiwaniu powietrza, po czym potknąwszy się wpadło do rzeki i utonęło.

— W każdym razie — oznajmił Alfa, — ja jestem głodny. — Rozejrzał się dokoła, w poszukiwaniu odpowiedniego pożywienia. Złapał owada, który go użądlił. Puścił go. — Mój głód pozostał.

Dostrzegł Finna i kobiety, schodzących ze zbocza góry.

— Zjem jednego z Reliktów — powiedział. — Chodźcie, wszyscy się najedzmy.

Trzy z nich ruszyły – jak zwykle w losowych kierunkach. Czystym przypadkiem Alfa stanął przed Finnem. Przygotowywał się do jedzenia, kiedy Finn podniósł kamień. Kamień pozostawał kamieniem, twardym, ostrym, ciężkim. Finn cisnął nim w dół, czerpiąc z praw bezwładności. Alfa umarł z rozbitą głową. Jeden z pozostałych Organizmów, próbował przekroczyć dwudziestostopową szczelinę i zniknął w jej głębi. Inny usiadł i łykał kamienie, by zaspokoić głód. Wkrótce padł martwy w konwulsjach.

Finn wskazał tam ręką i powiódł nią po nowej, świeżej krainie.

— W tamtej części będzie miasto, takie jak ze starych legend. Tam będą farmy, będzie pasło się bydło.

— Na razie nic z tych rzeczy nie mamy — zaprotestowała Gisa.

— Nie mamy — zgodził się Finn. — Jeszcze nie mamy. Ale słońce znowu weszło i wisi na niebie, kamienie znowu mają swoją wagę, a powietrze jej nie ma. Znowu woda spada w postaci deszczu i płynie do morza. — Zrobił krok nad leżącym Organizmem. — Zaczniemy robić plany.

KONIEC